

GEN. BRYG. PROF. ELŻBIETA ZAWACKA

„ZO”, „ZELMA” „SULICA” (1909–2009)

Można odejść na zawsze,

by stale być blisko

Ks. Jan Twardowski

Wielki, Wspaniały Człowiek. Druga generał brygady w historii Wojska Polskiego, jedyna kobieta wśród cichociemnych, legendarna kurierka AK, nauczycielka, matematyk, profesor nauk społecznych, prekursorka andragogiki, twórczyni „Archiwum i Muzeum Pomorskiego AK i Wojskowej Służby Kobiet”, a przede wszystkim Ukochana „Zo”.

Ktokolwiek spotkał na swej drodze życia „Zo”, nie potrafił pozostać obojętny na Jej inspiracje. Była osobą ciepłą, otwartą, ale działającą z żelazną konsekwencją i bardzo wymagającą. Przede wszystkim od siebie. Od współpracowników oczekiwała intensywnej pracy, wojskowej solidności i odpowiedzialności w służbie. Jedną z Jej najbliższych warszawskich współpracownic, pani Izabela Kuczyńska, wspomina, że kiedyś zdarzyło się jej realizować jakieś z zadań „niedostatecznie” szybko – Pani Generał pół żartem, pół serio zagroziła „karnym aresztem”. Miała poczucie szybko uciekającego czasu. I niezmiennie uważała, że ma go mało, o wiele za mało. Jej życiowym mottom było przesłanie „Bądź godną Polki imienia...” i „Całe Życie w Służbie”.

Dziełem Jej Życia była służba Rzeczypospolitej. Realizowała ją jako nauczycielka matematyki na Śląsku (a po wojnie w Łodzi, Toruniu i Olsztynie), instruktorka i komendantka śląskiego Przysposobienia Wojskowego Kobiet, żołnierz Kobiecego Batalionu Pomocniczej Służby Kobiet walczącej w obronie Lwowa, w SZP i ZWZ-AK kurierka (ponad sto razy przekraczała granicę) i szkoląca kurierów, zastępca szefa „Zagrody” – Działu Łączności Zagranicznej Oddziału V Sztabu Komendy Głównej AK. W lutym 1943 r. jako emisariuszka Komendanta Głównego AK wyruszyła przez Niemcy, Francję, Andorę, Hiszpanię i Gibraltar do Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie. Na własną prośbę powróciła do kraju,



skacząc na spadochronie na teren okupowanej Polski 10 września 1943 r. W Powstaniu Warszawskim pracowała w szefostwie Wojskowej Służby Kobiet KG AK. Konspiracyjną działalność prowadziła również po upadku Powstania – z Krakowa kierowała szlakami zachodnimi, prowadzącymi do bazy w Szwajcarii. Po zakończeniu wojny włączyła się w struktury konspiracji antykomunistycznej w ramach organizacji Wolność i Niezawisłość. W 1951 r. została aresztowana przez UB. Była więziona (z dziesięcioletnim wyrokiem) do 1955 r. W 1956 r. powróciła do pracy naukowej i pedagogicznej. Na Uniwersytetach Gdańskim i Mikołaja Kopernika w Toruniu zajmowała się andragogiką (w 1965 r. uzyskała doktorat nauk humanistycznych, a w 1973 r. – habilitację). Stale zbierała materiały związane z dziejami AK. W 1978 r. zmuszona do zaprzestania pracy jako wykładowca akademicki (zlikwidowano „Jej” katedrę andragogiki) – odeszła wówczas na emeryturę. Założyła koło kombatanów AK przy Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, działała w Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskim, współtworzyła Światowy Związek Żołnierzy AK. W 1990 r. doprowadziła do powołania Fundacji „Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej i Wojskowej Służby Kobiet” w Toruniu, która gromadzi dokumenty i relacje, organizuje konferencje, zjazdy naukowe, wydaje publikacje dokumentujące udział Pomorza w walce o niepodległość oraz dzieje wojennej służby kobiet. Ostatnio dzięki inspiracji i determinacji „Zo” powstał *Słownik biograficzny kobiet odznaczonych orderem wojennym Virtuti Militari*.

Za swą służbę dwukrotnie odznaczona Orderem Wojennym Virtuti Militari kl. V i pięciokrotnie Krzyżem Walecznych, Krzyżem Oficerskim i Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski oraz Orderem Orła Białego. Kustosz Pamięci Narodowej i honorowy obywatel Torunia.

Swoją służbę „Zo” podsumowała bardzo lakonicznie: „Miałam szczęśliwe życie”.

Leszek Rysak

ELŻBIETA ZAWACKA „ZO”

PRZEJŚCIE

**(FRAGMENT WSPOMNIENI ZAREJESTROWANYCH W TORUNIU
W CZERWCU 2007 R.)**

Do Londynu przyjechałam w 1943 r. Zanim tam dotarłam, musiałam zrobić jako kurier kawał drogi. W Berlinie i w Paryżu bywałam bardzo często, a teraz miałam dotrzeć do Anglii bardzo okrężną drogą.

Francja okupowana i nieokupowana, to były dwie zupełnie różne Francje. Jednej stolicą był Paryż (to była jakby Francja francuska), a drugiej Vichy (to była Francja niemiecka). Granica Paryż–Vichy była bardzo trudna, bardzo obstawiona przez Niemców, bo oni wiedzieli, że np. Anglia przez Hiszpanię przeprowadza swoich lotników. A ja ją przekroczyłam.

Nazywałam się wtedy Elsie Liviere, byłam Francuzką i miałam francuskie papiery. Najpierw jednak musiałam wydostać się z Paryża. Istniała tajna organizacja francuska o nazwie Liberation, która miała nam zorganizować przejście przez tę granicę. Personalnie był za to odpowiedzialny francuski oficer Mederic.

Premierem rządu Vichy był Philippe Pétain. Codziennie na trasie Vichy–Paryż, Paryż–Vichy jechał pociąg parowy z salonką Pétaina. Maszynista, który go prowadził, był

z tej organizacji Mederica. Parowóz musiał być dobrze zaopatrzony w wodę, więc zaraz za lokomotywą jechał cały wagon napełniony wodą. To się nazywało tender. W tym tenderze Mederic wybudował żelazny stelaż, który stał w wodzie, na nim były położone deski. Wody nie nalewano do pełna. Trzeba było wleźć przez taki komin, przez który do tendra nalewano wodę, i położyć się na deskach. Woda pod człowiekiem chlupała. Oczywiście było takie niebezpieczeństwo, że gdzieś po drodze zabraknie wody i na jakiejś stacji trzeba ją będzie uzupełnić, napuszczając silnym strumieniem wodę przez komin. Na szczęście mnie taka przygoda ominęła.

Pierwsza wyprawa się nie udała. Już wlażłam do tego tendra i położyłam się na deskach. Pojawia się maszynista i mówi, żebym wychodziła, że była wpadka – nasz punkt kontaktowy u stóp Pirenejów został zaaresztowany przez Francuzów. (Punkt był spalony i spalony był człowiek, który przeprowadzał kurierów; poszedł do obozu niemieckiego). To było o drugiej w nocy, więc nie było tak niebezpiecznie jak w dzień, bo o tej porze na Dworcu Orleańskim w Paryżu było niewiele Niemców. Miałam na sobie wełniany kostium w paski, z kieszeniami, bo kieszenie były bardzo potrzebne. I w tym kostiumie wchodziłam do tendra, co nie było szczególnie wygodne. A przy sobie miałam świeżo uszyty w Paryżu płaszcz (dałam sobie uszyć płaszcz u madame Lisienne, bo w Polsce, w Warszawie przecież już wszystko było w łapach niemieckich). Piękny płaszcz. Pobrudził się w tym kominie.

Wylazłam, umieścili mnie w jakimś hotelu. W Paryżu często mieszkalam w hotelu dla gestapowców, tak świetnie miałam zrobione papiery. Jak się dowiedziałam, że tam pod Pirenejami była wpadka i nie mogę jechać dalej, musiałam wracać do Warszawy, zameldować o wszystkim. Wcześniej Grot-Rowecki wydał rozkaz, że mnie wolno iść tylko bezpiecznymi drogami, bo jestem z łączności, znam tyle adresów zagranicznych. Nie mogę być aresztowana, bo nie wytrzymam tortur. Co to za rozkaz?! (Co prawda to był rozkaz dla tych, którzy mnie prowadzili). Zażądałam wtedy, by mi zabrano ten rozkaz, żeby mi wolno było wybrać drogę, ocenić, czy jest bezpieczna, i podjąć decyzję, czy nią iść. Zgodzili się, żebym szła wedle własnego nosa.

Pojechałam drugi raz do Paryża i w tym tenderze przejechałam na południe Francji, do Vichy, gdzie byłam parę dni. Tam już się zebrała gromadka oficerów francuskich. Pojechalismy do Tuluzy, a stamtąd do pewnej wioski na północnych stokach Pirenejów. Po drodze jest miasteczko, które zachowało całkowicie średniowieczny charakter – Carcassonne. Ja tak byłam ciekawa tego Carcassonne, że wysiadłam (czego nie wolno było robić) i zapoznałam się z tym miasteczkiem. Nie miało ulic, tylko dróżki, dookoła otaczały je mury. Pojechałam następnym pociągiem. W punkcie kontaktowym w tej wsi był już zapowiedziany przez Mederica przewodnik, który miał mnie przeprowadzić przez Pireneje. Hiszpania była pronieemiecka i aresztowała wszystkich, którzy szli przez jej terytorium, a tamtędy szli francuscy oficerowie i polscy lotnicy, którzy chcieli dostać się do Anglii; szło wielu ludzi. Ta droga nazywała się Ewa, od „ewakuacja”.

Głupi, zupełnie nieznający się na konspiracji przewodnik zrobił spotkanie tych, których miał przeprowadzić przez Pireneje, w schronisku. To tak, jakby w pełni sezonu zrobić spotkanie w schronisku na Ornak. Była godzina ósma wieczorem, mieliśmy wyjść nocą. Wieczór, jest pewnie z dwunastu mężczyzn, których miał przeprowadzić, i ja, dołączona do tej grupy, jedyna kobieta. Francuzi w ogóle nie mieli pojęcia, co to jest konspiracja i jak się trzeba zachowywać. Tu występowali otwarcie, jako turyści.

Była tam duża sień, a dalej sala restauracyjna. W sieni zgromadzili się francuscy oficerowie, którzy szli do Afryki Północnej, do Algieru, gdzie tworzyło się wojsko alianckie.

Czekamy na przewodnika, a tu pojawia się niemiecki Grenzschutz (ta jednostka miała swój znaczek w formie szarotki górskiej). I pytają tych Francuzów: „Co wy tu robicie?” A oni się tłumaczą, że sprzedają ranne pantofle. Niemcy zaglądną do ich plecaków, a tam są rzeczy, których używają turyści – jakieś dodatkowe ubrania – ale żadnych pantofli nie widać.

Ustawili nas w szeregu w tej dużej sieni. Wiedziałam, że jeśli wpadnę, to nie wydobędę się z ich łap. Stałam mniej więcej w środku tego szeregu. Jeden Niemiec ze straży bierze telefon, dzwoni. Za chwilę pojawia się drugi. Dwóch Niemców, każdemu z nas sprawdzają papiery. To była strefa przygraniczna, w której przebywanie było dozwolone tylko dla posiadaczy specjalnych przepustek. My ich oczywiście nie mieliśmy. Już jednego odstawili na bok, już następnego... Wiedziałam, co to znaczy – zabiorą ich. Co robić?!

Byłam jedyną kobietą w tym gronie. Byłam w ciemnym ubraniu, a to jednak był wieczór, nie wszystko było dobrze widoczne. Krok po kroku, na gumowych nogach (nogi sztywnieją w takich sytuacjach jak guma), przesuвам się do tyłu tego szeregu – najpierw za jednego, potem za następnego. Wolniuteńko, delikatnie, aż dotarłam do końca. W sieni stała szafa, a za nią były drzwi do sali restauracyjnej. Cały czas miałam świadomość, że jeśli mnie złapią, to grozi mi śmierć w torturach.

Zdejmuję torebkę (kobieta zawsze ma torebkę), wyciągam z niej tylko pocztę i przekładam do kieszeni kostiumu. Wtedy miałam dwie poczty – jedna była w działającej zapalniczce, tam było z pięćset stron mikrofilmów, a druga była w trzonku klucza. Jestem już przy szafie, uchylam drzwi do sali restauracyjnej i wkradam się do niej. Tam jest kelnerka i grające radio. Działalam jak pod natchnieniem – potrzebnie, niepotrzebnie – podkręcam radio, żeby głośno grało, wrywam kelnerce ręcznik, zakładam go sobie na rękę i wolniutko wracam do tej sieni. Niemcy kontrolują już kolejnego Francuza. Koniec szeregu wypadał przy schodach, które przez półpiętro prowadziły na górę. Znow przesunęłam się wolniutko za szeregiem. Krok po kroku, z tym ręcznikiem przełożonym przez rękę, wciąż na gumowych nogach, wolniutko wchodzę schodami do góry.

Na zakręcie na półpiętrze ktoś mnie chwytą za rękę. To był przewodnik, który nie znalazł się w grupie sprawdzanych mężczyzn. Był na górze i wszystko obserwował. Czuł się za nas odpowiedzialny, bo przecież wziął dużo pieniędzy za przeprowadzenie przez granicę. A to schronisko było zbudowane na stoku, tak że okno na półpiętrze było właściwie drzwiami na zewnątrz. On otwiera okno i ja przez nie wchodzę do ogródka na zboczu góry. Jest już noc, bo to wszystko od ósmej trwało ze dwie godziny. Skryłam się za jakimiś krzakami. To był luty, było zimno. Siedzę tam skulona, przewodnik zamknął okno. Ale jestem bezpieczna, tylko że strasznie zimno. I za chwilę słyszę, podjeżdża ciężarówka. Pakują do niej tych wszystkich oficerów, właściwie podchorążaków – to byli młodzi ludzie – i odjeżdżają. Potem się dowiedziałam, że znaleźli się w obozie koncentracyjnym, jakoś ta wieść dotarła do Londynu, stąd wiedziałam, że oni wtedy przynajmniej życie uratowali. Co z nimi było dalej, nie wiem.

Jestem uratowana, tylko strasznie marzną. W grupie „turystów” był też jeden francuski robotnik, który kilka miesięcy pracował na to, żeby zdobyć pieniądze na opłacenie przewodnika. Oni strasznie drogo brali za takie przeprowadzenie. Robotnik nazywał się Gilbert, był miłym chłopcem, trochę ode mnie młodszym, ja miałam wtedy już ponad trzydzieści lat. Niemcy go wypuścili, bo miał francuskie papiery, był robotnikiem. Gilbert otworzył okno, zdjął swoją kurtkę i przez okno rzucił mi ją na plecy, więc jakoś wytrzymałam to zimno. Wcześniej rano przychodzą po mnie Gilbert i przewodnik i prowadzą mnie do jakiejś wiejskiej chaty. Tam czekam na kolejną grupę, która ma być przeprowadzana przez Pireneje,

ale już nie mam pieniędzy, mam iść na własny nos. To jest okropne, być bez pieniędzy. Przewodnik mnie nie weźmie, bo on robi to tylko za opłatą. Mnie się udało go namówić tak – Panie, jak pan mnie przeprowadzi do Barcelony, ja należę do Secret Intelligence Servis, to Anglik z Barcelony da panu zaświadczenie, że pan mnie dobrze przeprowadził i będzie miał pan wielu klientów.

On na to poszedł, ale – już się albo bał, albo mu to było jakoś niewygodne – w zastępstwie zrobił naszym przewodnikiem swojego stryja. Po dwóch, trzech dniach wyrusza więc kolejna wyprawa przez Pireneje – tylko dwóch Francuzów, ja i Gilbert. Gilberta zabrali zdaje się w związku z tym obiecany przeze mnie zaświadczeniem.

Wyruszyliśmy koło jedenastej, było strasznie zimno, księżycowa noc. Maszerujemy. Góry wprawdzie niezbyt jeszcze wysokie, ale jednak wędrówka męcząca. Koło godziny drugiej już całkowicie opadłam z sił i nie mogłam zrobić ani kroku. Rzuciłam się na ziemię i powiedziałam – róbcie, co chcecie, ja zostaję.

Są takie sytuacje, że człowiek nie może już więcej z siebie wydobyć sił. Jak ten przewodnik zaczął mnie kopać! Hiszpania to jest kraj wina. Oni noszą ze sobą wino w takich skórzanych bukłakach, które mają dwa otwory. Jednym napełnia się bukłak winem, drugim – w formie spiczastego dzióbka – wino sika wprost do ust. Przewodnik więc najpierw mnie skopał, a potem napił winem. I to wino mi pomogło. Wstałam i poszliśmy dalej. Zimna, księżycowa noc, góry w śniegu, bo jest luty, zresztą tam śnieg utrzymuje się przez cały czas. Wędrujemy przez te góry.

W pewnym momencie przewodnik mówi, że on dalej nie pójdzie. Nie dostał pieniędzy, więc nie pójdzie. Zostawia nas – dwóch Francuzów, mnie i Gilberta. Pokazuje ręką w oddali taki dosyć wysoki wierzchołek, całkowicie ośnieżony i mówi, że za nim jest już granica hiszpańska. Idźcie tam sami. On wraca do Francji. Francuzi mówią: „Co, mamy iść z babą? Ona nie wytrzyma”. I dumnie poszli sami.

Zostałam z tym Gilbertkiem. Wędrujemy w kierunku szczytu, który wskazał nam przewodnik. Wchodzimy na górę. Ciężko było, trzeba było iść po śniegu, mijać przepaście. Tamten górski krajobraz jest inny niż tatrzański, poza tym Pireneje są wyższe. Wędrujemy tak raz pod górę, potem na czterech literach zjeżdżamy w dół, potem znów wyżej... Znaleźliśmy się na takiej łączce, przez którą płynął strumyczek. Gilbert widzi, że jestem bez sił. Mówi: „Połóż się tu, ja pójdę do najbliższej wioski (już je gdzieś niżej było widać) i postaram się o pomoc”. Był bardzo dzielny, dawał sobie ze wszystkim radę. Położyłam się i natychmiast usnęłam. Po jakimś czasie Gilbert obudził mnie i mówi: „Chodź, możemy iść do tej wsi”.

Zatrzymaliśmy się w oberży. Gilbert poszedł zorientować się w sytuacji. Ja zostałam, bo moja francuszczyzna była dosyć kiepska, a hiszpańszczyzna jeszcze gorsza, chociaż gdy czekałam w Paryżu na tę wyprawę, uczyłam się hiszpańskiego w tamtejszej Berlinerschule. Nie był dla mnie zupełną nowością, bo on jest podobny do łaciny, a ja łacinę pamiętałam ze szkoły. Po jakimś czasie Gilbert wraca i mówi: „Słuchaj, znalazłem Anglika”. Okazało się, że w tej granicznej wsi SIS miał swojego agenta. Gilbert go wyniuchał, Anglik dobrze znał francuski. Nazywał się mister Roberts. I od razu do mnie przyszedł. Powiedziałam, że jestem emisariuszką i że musi mnie doprowadzić do ambasady angielskiej w Barcelonie. Uwierzył mi.

Dał mi hasło do ambasadora, wyjaśnił, co trzeba, pewnie też dał trochę pieniędzy, już nie pamiętam, jak to było. Roberts był w kontakcie z rządem Andory, samodzielnego państwa leżącego w górach między Francją a Hiszpanią. Dał mi kontakt do Santa Julia, stolicy Andory.

Idziemy z Gilbertem wskazaną drogą. Okazało się, że z Santa Julia przysłali po nas samochód. Zupełny luksus! Podjeżdża samochód, my z Gilbertem wsiadamy i jedziemy szosą! W pewnej chwili zobaczyliśmy tych dwóch Francuzów, którzy wzgardzili kobietą, pomachaliśmy im, ale zabrać nie mogliśmy. W Santa Julia dali nam wspaniały hotel. Byłam prawie bosa, bo na tych górskich drogach całkowicie zdarłam sobie buty. Kupili mi espadryle. Dali nam przewodnika, który miał nas przeprowadzić do Hiszpanii przez granicę Andora–Hiszpania. Znow idziemy przez góry. Docieramy do następnej wsi i pamiętam, że znow byłam strasznie zmęczona. Przenocowaliśmy u górali na sianie, w stodole. Jeszcze z Paryża miałam taką wielką zieloną chustę, więc się nią owinęłam i zasnęłam.

Czekała nas niebezpieczna droga przez granicę. Niebezpieczna dlatego, że hiszpańska Guardia Nationale oddawała zatrzymanych Polaków Niemcom, byli z nimi w sojuszu. Szła z nami gromadka Francuzów. Trochę zbagatelizowaliśmy niebezpieczeństwo ze strony Hiszpanów i podczas marszu głośno rozmawialiśmy z tymi Francuzami. Wydawało się nam, że już jesteśmy wolni. W górach jednak głos niesie się daleko. No i ściągnęliśmy na siebie tę hiszpańską straż. Najgorsze, co mogło nam się przydarzyć.

Jak ich zobaczyliśmy, to w nogi! Przed nami jest górski garb, pędzimy pod górę, ale Gilbert i przewodnik biegną szybciej, ja zostaję w tyle. Tuż za sobą mam tę Guardia Nationale. I tu przydało mi się terenoznawstwo z PWK. Wiedziałam, że w górach u człowieka najbardziej widoczne są twarz i ręce, one wręcz świecą. Jeśli człowiek chce się ukryć, musi je zasłonić. Dopadłam jakiegoś skalnego występu, na nim rosły krzaki. Wspięłam się tam, przykucnęłam, zasłoniłam twarz. Tuż pod moją skałą zatrzymało się dwóch gwardzistów. Ostrożnie zaczęłam się rozglądać. Bardzo daleko widzę wciąż biegnącego przewodnika i Gilberta, oni mnie bardzo wyprzedzili. Siedzę na wierzchu skały w krzakach, a gwardziści stoją pode mną. Zobaczyli tych biegnących i strzelają do nich, ale byli już tak daleko, że ich nie trafili. Uciekli. Mnie nie zobaczyli. Odeszli. Już niby byłam w Hiszpanii, ale wciąż w pasie granicznym, dlatego tam była ta straż. Siedzę w krzakach, jest zimno i kicham.

A Gilbert się zawstydził, że mnie opuścił, bo miał dłuższe nogi. Przewodnik poszedł sobie dalej, ale Gilbert wrócił, żeby mnie odszukać. I znow przykład, że w górach dźwięki daleko się rozchodzą. Gilbert usłyszał moje kichanie.

Byliśmy przynajmniej we dwójkę, choć oboje bez pieniędzy. To było przed południem, koniec zimy, śliczny okres w górach! Idziemy na nosa, nie mamy mapy, przewodnika. Mnie się zdawało, że jak będziemy iść na południe, to dojdziemy do jakiejś szosy. A tymczasem ciągle napotykaliliśmy górskie łańcuchy, bo jednak właściwym kierunkiem był zachód. W końcu dotarliśmy do zupełnie wyludnionej wioski, bo ludzie z niej wyszli do pierwszych po zimie prac na swoich polach, położonych w górach. W ogrodach migdałowych na biało kwitły drzewa. Cudny to był widok! Przed jednym domem siedział starszy człowiek. Wyniósł nam z domu w garnku troszkę kaszy.

Co dalej robić? On mówi, że miejscowy nauczyciel zna język francuski. Poprosiliśmy go, żeby go odszukał. Pamiętam, że oni tam poruszali się na osiołkach. Pojawił się nauczyciel, rzeczywiście znał francuski. Wioska nazywała się La Seu d'Urgell. Nauczyciel był zachwycony spotkaniem, bo domyślał się, że znam angielski i pomogę mu zrozumieć audycje z radia angielskiego, które odbierał. Był to bardzo miły człowiek, zaprowadził nas do swojej wiejskiej szkółki. Cóż to za bieda była w tej Hiszpanii! Cała szkoła to była jedna mała izdebka. Pytam go, jak uczy matematyki, jakie ma pomoce. Jedyna pomoc to był prostopadłościan, taka kostka, na której można było pokazać przekątne i kąty. Idziemy do niego, słuchamy

radia, próbuję zrozumieć, co oni tam mówią. Dla niego to było cudowne, że ktoś przyszedł, bo czuł się zesłany na koniec świata.

Nauczyciel naprawdę szczerze chciał nam pomóc. Poprosił nawet jednego ze swych zaufanych, górala, który właśnie wybierał się autobusem do Barcelony, żeby uprzedził w ambasadzie, że idzie do nich kurier. Tamtejsi górale są bardzo dumni. On tam poszedł, ale go jakoś zlekceważono. Anglicy mieli wstępną stosunek do innych narodowości, wszyscy byli niżsi od nich. Ten góral był wściekły, że go tak potraktowano, ale nauczyciel jakoś go udo-bruchał.

Raz dziennie z tej wsi jeździł autobus do Leridy, która była najbliższym miastem wojewódzkim. Nauczyciel przenocował nas, najedliśmy się, dał nam pieniądze na bilety, chociaż wiedział, że mu nie oddamy, bo jak? Przyjechał autobus, ale dla bezpieczeństwa on postanowił sam kupić bilety. Wraca i mówi: „Nie możecie jechać, bo akurat jest tam żandarm niemiecki (czy też ktoś z tej hiszpańskiej straży, w każdym razie ktoś groźny)”. Trudno, puszczamy się piechotą. Od La Seu d’Urgell do Leridy jest przynajmniej sto kilometrów.

To był już początek marca, słońce mocno grzało. Znow jesteśmy głodni, znow zmęczeni. Wtedy zrobiłam najdłuższy marsz w moim życiu. Sześćdziesiąt kilka kilometrów górami jednego dnia, to była bardzo ciężka droga. Wiedzieliśmy, że do Leridy mamy kierować się na wschód. Mijaliśmy różne małe górskie gospodarstwa. A Franco też szkolił kobiety. Na jednym z takich podwórek widzę szkolenie kobiet, takie frankistowskie szkolenie PWK. Instruktorka była w mundurze. A my wyglądamy jak para żebraków. Dała nam po rybce i kawałku chleba. Ale mimo to zrobiła na mnie złe wrażenie, wyglądała zupełnie jak hitle-rówka. Gilbert był bardziej głodny niż ja, więc mu oddałam swoją rybkę, zjadłam sam chleb. Słońce pali, rybka była strasznie słona, nie ma po drodze żadnego strumienia. Gilbert lizał każdą skałę, na której zostały jeszcze resztki porannej rosy.

Potem już omijaliśmy wioski, bo w nich mogła siedzieć Guardia Nazionale, nadrabialiśmy sporo drogi, żeby nawet psy nas nie wyczuwały i nie szczekały. Koło jedenastej w nocy musieliśmy się zatrzymać, żeby odpocząć. Gilbert znalazł trochę siana, przespaliśmy się, a rano okazało się, że nocowaliśmy na skraju przepaści, gdybyśmy zrobili jeszcze parę kroków dalej, spadlibyśmy. Bóg nas strzegł.

Doszliśmy do Leridy. Jeszcze się baliśmy gwardzistów. Miałam pieniądze od nauczyciela i poprosiłam jakiegoś chłopca, żeby nam kupić bilety do Barcelony (Lerida ma z nią połączenie kolejowe). To jest ponad sto kilometrów. Chłopiec był uczciwy, nie uciekł z pieniędzmi. Jedziemy do Barcelony! Naturalnie nie jechaliśmy razem, tylko w sąsiednich wagonach. Dojechaliliśmy wcześniej rano. To było bodaj 23 kwietnia.

Odnaleźliśmy ambasadę angielską, siadłam na schodach, a Gilbert poszedł do ambasady francuskiej, chciał się dostać do Algieru. Ustaliliśmy, że po wojnie na poste restante w Tuluzie umówimy się na spotkanie. Ale już nigdy się nie spotkaliśmy. Szukałam go, ale to już było dłużej po wojnie, bo tu przecież była komuna.

Przychodzi ambasador, podaję mu hasło. Dostałam „anioła stróża”. Po pierwsze kupiono mi buty, ubranie i inne rzeczy potrzebne do podróży. Ambasador urządził mnie i dał depeszę do Londynu, że zgłosiła się „Zo” i jest w drodze. Byłam w Barcelonie kilka dni, czekałam na samolot.

Któregoś dnia spaceruję po molo i spotykam polskiego kuriera z Zagrody – Arusia (nie pamiętam jego nazwiska, ale było takie arystokratyczne). On mi powiedział, że ten kontakt w Pirenejach został odbudowany i ludzie są prowadzeni łatwiejszą drogą przez wschodnie, niższe Pireneje (nasza droga wiodła przez partie bardziej zachodnie, równoległe

do Atlantyku). Jesteśmy w Barcelonie we dwoje. Przylatujemy samolot angielski z Egiptu do Londynu, ma jedno miejsce i oczywiście zabiera mężczyznę. Ja byłam emisariuszką, a Aruś był kurierem, to zupełnie inna ranga. Byłam wściekła, zażądałam, żeby kupili mi bilet przez Madryt do Gibraltaru, nie chciałam czekać na drugi samolot, który Bóg wie kiedy może przylecieć.

W Madrycie konsul polski musiał mi umożliwić dotarcie do Gibraltaru, przecież była granica hiszpańsko-gibraltarska. Czekałam na odpowiednie papiery, siedziałam w Madrycie kilka dni. Chodziłam do muzeów, oglądałam miasto. Użyłam sobie jako turystka.

W Gibraltarze czekałam kilka kolejnych dni. Miałam zabrać się z polskim transportem wojska Andersa, które z Egiptu płynęło do Wielkiej Brytanii. Jedenaście okrętów z wojskiem i kilka okrętów z jeńcami włoskimi (to był okres bitwy pod Monte Cassino). Dali mi I klasę, bardzo przyzwoicie. Któregoś dnia była potężna burza, zupa stanęła mi całkowicie w poprzek żołądka. Były niemieckie naloty, ale najgorsze były łodzie podwodne, U-Booty. Co noc ćwiczyliśmy alarmy i to, jak się ewakuować. Każdy wiedział, gdzie będzie miał miejsce w szalupie, żeby się ratować, jak będzie atak łodzi podwodnych. Żeby je ominąć, cały transport podpłynął prawie pod Amerykę, a potem wokół Islandii i, od zachodu, do Anglii.

Przyplływamy. Wszyscy opuszczają okręt (a płynęło z nami także kilkanaście kobiet ewakuowanych z bombardowanej Malty), mnie zatrzymują. Nie wypuszczają – jestem więźniem. Wreszcie przyjechała policjantka i zawiozła mnie do Londynu, a tam – do więzienia. Bardzo wygodne więzienie, miałam gazety, był ogród. Po dniu czy po dwóch dniach przychodzi po mnie oficer angielski, doskonale mówiący po polsku z Oddziału VI Sztabu Naczelnego Wodza [oddział specjalny, któremu podlegała cała „polska” podziemna Europa]. To był pułkownik Michał Protasewicz.

Następnego dnia melduje mnie u Sikorskiego, jako emisariuszkę z kraju. Ja mu melduję to, co mi Rowecki kazał – stan spraw w Polsce itd. Myślałam, że Sikorski zacznie mnie wypytywać choćby o to, co jest z AK. Żadnego zainteresowania tym, co się dzieje w Polsce! Był zajęty tylko tym, co się dzieje na emigracji, to znaczy walką o władzę. Opowiadał

mi przez godzinę, jakie mu kłody rzucają pod nogi – mnie, skromnej żołnierce z okupowanego kraju, która przybyła do wolnego kraju! I ja mu chcę meldować, że przyjeżdżam jako kurier, że przywiozłam pocztę itd., a on mówi: „Potem pani przyjdzie do mnie i się zamelduje, bo ja teraz muszę wyjechać”. To była ta podróż na Bliski Wschód – na inspekcję do Andersa – i katastrofa w Gibraltarze. Tak to wyglądało.

Ja jeszcze przed wojną uznałam, że istotą bycia żołnierzem jest wykonanie rozkazu, wszystko jedno jak. Więc musiałam dojść z pocztą do Londynu. I doszłam.



Fot. L. Rysak



Fot. L. Rysak

Wysłuchała Barbara Polak